

Teresa Gutowska z domu Kobryń

Ojciec mój to osadnik wojskowy był, mając 17 lat wstąpił do legionów Piłsudskiego. Urodził się w kieleckim i jak wojna wybuchła jako chłopiec patriota brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej do 1918 roku. Potem Piłsudski dla swoich oficerów za waleczność nadał ziemię na Polesiu, 28 hektarów, tatuś wtedy jeszcze kawalerem był. Pojechał tam i wybudował dom. Potem przyjechał do Kielc, bo chciał jakąś pannę znaleźć. I spotkał kolegę, mamusi brata. Brat pyta: a co ty tu robisz, a on mówi: a przyjechałem żony szukać. A on mówi: u mnie są dwie panny, to przyjdź i sobie wybierzesz, którą chcesz. No i umówił się, brat przyszedł do domu i powiedział: panny przygotujcie się, bo tu kawaler przyjedzie. Przyjechał ten kawaler i wybrał moją mamusię. Wybrał, ale nic to, teraz to bezpośrednio, a wtedy to jeszcze z zasadami było. Przyjechał za tydzień ze swatem. Do swata mrugnął, że ta i ta mu się podoba, żeby wywiad zrobić, czy też się podoba kawaler. I swat zaczął się koło mamusi kręcić i pytać, a mamusia tylko ramionami wzruszyła i powiedziała: no tak. No i potem młody przyjechał następny raz, ale już bez swata, bardzo spieszył się, bo gospodarka czekała i robota też. Mamusia wstydliva była, 21 lat miała, skrępowała się i schowała w pokoju pod pierzynę. Kawaler przyjeżdża, szukają, gdzie panna, a panny nie ma. Siostra poszła do sypialni i patrzy coś ta pierzyna nie tego, odkryła. Tatuś już na zapowiedzi dał i po 2 tygodniach wesele było. W mieszkaniu, sąsiadów dużo przyszło, orkiestra zaczęła grać, a ten młody jak to wojak, kozaczoka, mamusia pomyślała: za jakiego pajaca ja wychodzę za mąż. Wstyd jej było, zarumieniła się, pomyślała, co sąsiedzi powiedzą. W sukience w welonie wyszła niezauważona, schowała się w sianie. Także nocy poślubnej nie było.

I 12 lat mieszkaliśmy na Polesiu. Białorusini chętnie wynajmowali się do pracy, bo biedni byli, a Polacy bogaci, panami byli, kułakami.

W 1939 roku wojna wybuchła, tatuś jako żołnierz miał szablę i pistolet dla obrony, dla bezpieczeństwa. Szablę to honorowo na ścianie powiesił jako symbol, uszczerbiona była, ale ta szabla uratowała mu życie. Odwet zrobił i ślad na tej szabli był. Miał też pieniądze, ileś tam zbieranych i schował je na strychu, w razie czego, gdyby go zabrali na przesłuchanie.

10 lutego 1940 roku o 2 w nocy walenie do drzwi, dzieci spały, nas już wtedy pięcioro było, najstarszy brat miał 11 lat, a ja 9 miesięcy, niemowlę jeszcze. I enkawudziści wpadli do mieszkania i dali nam pół godziny na spakowanie. Mamusia poszła na strych po pieniądze, a gdzie poszła to enkawudzista za nią, wszystko sprawdzał, co ona bierze. Poszła szukać, ale z szoku zupełnie zapomniała, gdzie są pieniądze. Tatuś był tylko w bieliźnie nocnej, nie pozwolili mu się ubrać, w kalesonach był i w koszuli i enkawudzista z bronią wycelowaną w niego, gdyby tatuś się ruszył zastrzeliby. Gdy mamusia przyszła i powiedziała, że nie wie gdzie pieniądze są, ten nie patrzył, czy go zabije, zerwał się i pieniądze odnalazł, a ci zaraz zabrali je i powiedzieli, że nie potrzebne są wam te pieniądze, bo tam gdzie będziecie, to będziecie mieć raj. I z tobołkami zawieźli nas do stacji zbiorczej, pełno tam było osadników wojskowych i do wagonów bydłowych nas załadowali, tam tylko prycze były porobione i dwa tygodnie podróż w tych wagonach. I zawieźli nas w Tajgę, na północ Rosji, tam zapakowali na sanie, dwa metry śniegi głębokie były. W czasie jazdy w nocy najstarszy brat spadł z sani, mamusia nie zauważyła, bo ciemno i on zaczął szybko biec, woźnica zauważył, że nie ma starszego syna i zaczekał. Inaczej by go nie było. Wyładowali nas w Tajdze, tam już byli zesańcy z za cara. Dali nam kajutę w baraku i powiedzieli: tu już wasza ojczyzna.

W Tajdze trzeba było mieć szerokie narty, bo inaczej to by człowiek w śnieg wpadł. Z szerokich desek sznurkami przywiązane do butów. A mnie do Jaśli, czyli do żłobka dali, w

tym żłobku jedzenia nie było, chudłam tak, że skóra i kości prawie. Mając 2 latka w ogóle nie mogłam chodzić, nogi krzywe zapadały się, na tyłku szorowałam. Raz upadłam tam, a łózka były żelazne, że rozcięłam sobie twarz, mam teraz jeszcze ślady. Cała byłam we krwi. Tam nie było lekarzy, ale jakimś cudem przeżyłam. Ukrainki i Białorusinki to mówiły, że do jutra umrę.

Miejscowi mogli mieć jedną kozę na własne potrzeby, Polakom nie wolno było. Nas to w ogóle na zagładę tam wywieźli. I oni spytali, czy synowie nie mogliby paść w okresie letnim, przez dwa miesiące, mamusia dostawała pół litra mleka. Było tych kóz 60 i co dzień inna gospodyni mleko dawała. I to kozie mleko mnie uratowało.

Jedna Białorusinka też miała niemowlę i to niemowlę przyczepiała w kolebce wysoko na haku pod sufitem, gdy musiała do pracy iść, a masa szcurów była. Przychodzi z pracy, a z kolebki szczury wyskoczyły, już dziecko nie żyło, obgryzione było. Wszystko, co było miękkie to obgryzły.

Szcurów bardzo dużo było, jeden inwalida Białorusin, Ukrainiec (tam dużo mieszaićców było) zrobił łapkę na szczury, z przynętą i ucinął głowę, ogon, skórę ściągął, gotował i to jadł. Mięsa było pod dostatkiem. Ten inwalida taki sobie sposób wymyślił, żeby się uratować.

Tam na zesłaniu to konie były i pewnego razu koń zdechł z wycieńczenia. Dozorcy powiedzieli, że na bardzo zaraźliwą chorobę i wzięli tego konia wyciągnęli za osadę by spalić. Tatuś i inni Polacy sąsiedzi podpatrzyli, gdzie oni tego zdechłego konia ciągną i jak enkawudziści odeszli od tego palącego się konia, to Polacy pod osłoną nocy wrócili i każdy jakiś kawałek sobie urąbał. Ojciec nogę i wziął na plecy i przyciągnął do domu. I mamusia poporcjowała i zaczęła gotować w kotle. Kocioł był, nie to, że w każdej izbie, tylko na środku wspólnego korytarza. Jak to mięso gotowała trzeba było pilnować na zmianę, żeby nikt nie ukradł. Wtedy się najedliśmy i nikomu nic nie było. Jacy oni byli, niech zdechnie, ale ludziom nie dadzą. Jakiś cud był, że w marcu 1946 roku wróciliśmy do kraju całą rodziną.

W domu zawsze rozmawialiśmy o tamtym okresie, rodzice byli tym bardzo przesiąknięci. Ale publicznie w Polsce Ludowej nie wolno było, jakby coś to by nas z powrotem wystali, tacy szpiedzy to chodzili i tylko nadstuchiwali, czy ktoś coś tam nie mówi na Rosjan, coś nieprzyjemnego, także nie wolno było w ogóle się nawet przyznawać, że człowiek był zesłany. W życiorysie ja omijałam ten temat. O tym nic kompletnie nie można było mówić.